



Mariusz Urbanek (rocznik 1960) – jeden z najwybitniejszych współczesnych biografistów polskich, absolwent prawa na Uniwersytecie Wrocławskim. Pracował w tygodnikach „Itd.,” „Przegląd Tygodniowy” i „Wprost”, współpracował z „Polityką” i „Gazetą Wyborczą”, redagując „Wieżę Ciśnień”, reporterski dodatek wrocławskiego wydania. Obecnie kieruje działem publicystyki i historii w miesięczniku „Odra”, gdzie od 1990 roku publikuje także stały felieton *stan przejściowy*. W latach 2012–2021 kierował Gabinetami Świadków Historii w Muzeum Pana Tadeusza Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Do jego najwybitniejszych książek należą: *Broniewski. Miłość, wódka, polityka* (Iskry, 2011), *Genialni. Lwowska szkoła matematyczna* (Iskry, 2014), *Wieniawa. Szwoleżer na Pegazie* (Iskry, 2015 – wydanie poszerzone i zmienione), *Makuszyński. O jednym takim, któremu ukradziono słońce* (2017, zwycięzca w plebiscycie widzów TVP Kultura na „Najgorętszą książkę lata”).

Napisał także biografie Stefana Kisielewskiego, Juliana Tuwima, Leopolda Tyrmanda, Jerzego Waldorffa i Jana Brzechwy.

Właśnie nakładem Iskier ukazuje się jego *Eile. Pocziwy cynik z „Przekroju”*.

Eile, czyli nie nudzić

Rozmawiała Marta Gruszecka

Mariusz Urbanek: Dziś jestem wrocławianinem z miłości, ale w Krakowie mam wielu znajomych i przyjaciół, z którymi nieraz zawieraliśmy austro-węgiersko-breslauerski sojusz wymierzony oczywiście w pazerną, zarozumiałą i bezczelną Kongresówkę.

Marta Gruszecka: By napisać o kimś książkę, trzeba chyba darzyć tę osobę szczególną sympatią albo jej nie lubić. O tych, którzy są nam obojętni, raczej się nie pisze.

Mariusz Urbanek: To niedobre założenie. Wcale nie jest tak, że swojego bohatera trzeba albo lubić, albo nie. W pierwszym przypadku istnieje ryzyko napisania hagiografii, a więc rzeczy z definicji mdłej i nudnej, w drugim – paszkwilu. A biograf raczej powinien być swoim bohaterem zaintrygowany, zaciekawiony, odkrywać prawdę o nim, szukać motywacji jego czynów. Wtedy ma szansę, po pierwsze – zrozumieć swojego bohatera, po drugie – zaciekawić czytelników.

Bohater Pana najnowszej książki, Marian Eile, należał do ludzi lubianych. Co przyciągnęło Pana do Eilego? Dlaczego to właśnie jemu poświęcił Pan kilkaset stron?

Dobieram swoich bohaterów według jednego prostego kryterium. Muszą być dla mnie interesujący. Biografie, które piszę, nie powstają na zamówienie, na kolejny stopień naukowy czy po to, żeby przynieść pieniądze. Choć jeśli przynoszą, to oczywiście dobrze. A Eile intrygował mnie od lat. Człowiek, który, jak sam mówił, stworzył pismo dla 800 milionów Słowian. Nie wiadomo, co prawda, skąd dobrał prawie pół miliarda Słowian, bo jak wiadomo jest nas około 300 milionów, ale faktem jest, że do czytania „Przekroju” przyznawało się wiele osób z tak zwanych demoludów, czyli Związku Sowieckiego i pozostałych krajów obozu socjalistycznego. To było dla nich okno na świat w czasie stalinizmu, a potem breżniewszczyzny. Josip Brodski, rosyjski dysydent i laureat nagrody Nobla, nauczył się polskiego, żeby czytać „Przekrój”.

Eile to charyzmatyczny geniusz z wieloma talentami, za którego myślą idą tłumy.

Na pewno talentów miał wiele. Był prawnikiem, malarzem, scenografem teatralnym, satyrykiem, rysownikiem, tłumaczem, pisarzem, a przede wszystkim redaktorem. Nie mógł sam napisać wszystkiego, co chciał, co uważał za ważne i potrzebne, ale potrafił przekonać do napisania tego innych. Pod tym względem był na pewno charyzmatyczny. Nie da się robić wybitnego pisma, nie umiając zbudować zespołu z indywidualności, które widzą przede wszystkim

koniec własnego nosa. Takie były „Wiadomości Literackie” Grydzewskiego, gdzie Eile terminował, taka „Kultura” Giedroycia, także „Polityka” Rakowskiego. No i może najbardziej „Przekrój” Eilego, bo on nie tylko drukował największych, jak Grydzewski, nie tylko wyznaczał kierunek, jak Giedroyc czy Rakowski, on „robił” pismo osobiście od początku do końca. Do oglądania i do czytania. Projektował nawet najmniejsze ozdobniki

Synonimem motta przyświecającego Eilemu może być przykazanie otwierające autorski dekalog: „Po pierwsze: nie nudzić”.

w piśmie i bezlitośnie skracał długie elaboryaty podpisane „nietykalnymi” nazwiskami. Bo czytelnicy nie mieli mówić: X czy Y napisał w „Przekroju”, bo to promowało ich nazwiska. Mieli mówić: „Przekrój” napisał albo w „Przekroju” było napisane. Nie liczył się autor, liczyło się pismo.

W książce przytacza Pan wspomnienia wielu osób, choćby Anny Marii Potockiej, Kazimierza Wiśniaka, Ludwika Kerna, Stefana Kisielewskiego, Lucjana Kydryńskiego i Andrzeja Klominka. A jak Pan zapamiętał Eilego?

Nie znałem Mariana Eilego osobiście, kiedy zmarł, kończyłem dopiero studia. Ale dziś mam poczucie, że wiem o nim sporo, bo na pewno nie wszystko – zbyt był ukryty za „Przekrojem”. To „Przekrój” był dziełem jego życia. Więc pewnie gdybym mógł przynieść się w czasie i zapytać Eilego o jego poglądy na tematy związane z literaturą, sztuką, muzyką, odesłałby mnie do „Przekroju”. Usłyszałbym: – Pan sobie poczyta.

Kiedy zaczął Pan czytać „Przekrój”?

Ja czytałem już „Przekrój” redagowany przez Mieczysława Czumę, ale odwołujący się do dorobku Eilego – powiedzmy, że starający się zachować tamtego ducha. Tygodnik był obecny w domu moich rodziców od zawsze, czyli zapewne od czasów eilowskich, tyle że ja go wtedy jeszcze nie czytałem.

Jakie rubryki należały do Pana ulubionych?

Zacynałem każdy numer od wiersza Ludwika Jerzego Kerna i reszty ROZmaitości na ostatniej stronie, potem czytałem

Demokratyczny savoir-vivre, czyli rubrykę porad towarzyskich i obyczajowych redagowaną przez Jana Kamyczka, czyli Janinę Ipohorską. Odpowiedzi Kamyczka na przysyłane do redakcji pytania były zawsze bardzo dowcipne, podszyte subtelną ironią – myślę, że porównywalną z uprawianą przez Wisławę Szymborską w *Pocście literackiej*, gdzie musiała odpowiadać na literackie ambicje grafomanów. Zresztą, gdyby było inaczej, Jan Kamyczek i *Demokratyczny savoir-vivre* nie trafiłyby do

„Przekrój” był w pierwszej kolejności pismem dla inteligencji, dopiero w drugiej – co zarzucali mu orędownicy kultury wyłącznie wysokiej – dla drobnomieszczaństwa znanego w tamtym ustroju jako inteligencja pracująca. A nawet jeśli „Przekrój” był robiony dla drobnomieszczaństwa, to dla takiego z aspiracjami.

jednej z nieśmiertelnych piosenek Wojciecha Młynarskiego *Żorzyk*. „Piszę do pana, bo mi żal, normalnie żal...”

Poniedziałek był dla moich dziadków świętem. Babcia już o świcie wsiadała na rower (lato, zima, pal licho) i mknęła do kiosku „po gazety”. Jedną z nich zawsze był „Przekrój”. To był czas kioskowych teczek. Najpierw należało się zaprzyjaźnić z panią kioskarką, uwieść ją czekoladkami albo innym dobrem, wtedy ona zakładała klientowi teczkę, gdzie odkładała zamówione wcześniej gazety i tygodniki, które były jednym z wielu towarów deficytowych w tamtym ustroju. To brzmi dziś absurdalnie, ale na tygodnik o półmilionowym nakładzie, dziś trudno wyobrazić sobie dla pism uchodzących za opiniotwórcze i ukazujących się w nakładzie kilkunastu tysięcy, były zapisy.

W ciągu dnia dziadkowie zaczytywali się w tekstach, wieczorem był czas na krzyżówki. Byli najbardziej łebskimi krzyżówkowiczami, jakich znałam. Nie mogli położyć się spać, dopóki nie rozwiązali całej krzyżówki. Też jako mała dziewczynka zarywałam noce dla krzyżówek z „Przekroju”... Rozwiązywał Pan? A może nadal rozwiązuje?

Krzyżówki „Przekroju” były fenomenem, bo wymagały nie tylko wiedzy i umiejętności kojarzenia, ale także inteligencji i poczucia humoru. Były dowcipne, przewrotne, podszyte absurdem i groteską. Najpierw trzeba było zrozumieć, o co autorom krzyżówek, w tym Eilemu, chodzi w haśle, a dopiero potem dopasowywać odpowiedź. Gratuluję dziadków. Ale „Przekrój” trzymał też rękę na pulsie literatury. Publikował książki

ukazujące się na Zachodzie, poczynając od *Witaj, smutku* Francoise Sagan, po opowiadania Rolanda Topora. To także Eile wprowadził do Polski rodzinę Addamsów. Kiedy czytałem „Przekrój”, wielką atrakcją były wywiady z gwiazdami filmu i kultury popularnej. To były długie rozmowy na wyłączność, specjalnie dla „Przekroju” i polskiej publiczności z odręczną dedykacją. Z Henrym Fondą, Kirkiem Douglasem, Jackiem Nicholsonem, Melem Brooksem i dziesiątkami innych. W szarzyźnie PRL rzecz niebywała. **„Pismo trzeba robić lekko!” – powtarzał Marian Eile. A jak pisać książki? Ma Pan duże doświadczenie, bo Marian Eile. Poczciwy cynik z Przekroju to Pana kolejne wydawnictwo.**

Synonimem motta przyświecającego Eilemu może być przykazanie otwierające autorski dekalog: „Po pierwsze: nie nudzić”. Lepiej opowiedzieć anegdotę, która popchnie narrację do przodu niż przez półtorej strony tłumaczyć czytelnikowi, co bohater miał na myśli. Warto czytelnikowi zaufać. Pisanie nie jest tylko umiejętnością dobierania słów w spójne zdania, ale też ćwiczeniem z wyobraźni – trzeba pozwolić czytającemu wyobrazić sobie świat bohatera. W końcu biografie pisze się także po to, żeby dać czytelnikowi możliwość przymierzenia się do postaci bohatera, żeby podsunąć mu pytanie: „A jak ty byś się zachował w chwili próby, wobec jednego z dwóch największych totalitaryzmów, przed którymi stanęła w XX wieku ludzkość, i wobec dwóch największych wojen w historii, ale też wobec zwykłych ludzkich problemów?”

Dlaczego „poczciwy cynik”?

Leopold Tyrmand napisał w *Dzienniku 1954*, że „Przekrój” to twierdza pocziwych cyników niewysokiego lotu, którzy zarabiają grubą forszę w służbie komunistycznej propagandy i sprowadzają za nią z Zachodu antymarksistowską rozkładowość: dobrą literaturę, modę i jazz. Klasyczna Tyrmandowska złośliwość. Ale potem powiedział: „Będą o nas kiedyś mówić: to ci ze stajni Eilego”. Bezbłędnie rozpoznał wartość miejsca, w którym przez kilka lat pracował.

Eile naprawdę był cynikiem?

Odpowiedzi na to pytanie szukam przez całą książkę. Bez pewnej dozy cynizmu, nawet serwitutów płaconych władzy nie można byłoby robić takiego pisma jak „Przekrój” Eilego. Za czasów stalinowskich to był oportunizm, ale bez tego nie dałoby się, jak powiedziała Agnieszka Osiecka, przetrwać stalinizmu, nie ubłociwszy butów i nie przestając jeść ryby dwoma widelcami. Pewnie lepiej dla legendy pisma byłoby, gdyby niektóre teksty z tamtego czasu się nie ukazały, ale ukazały się i są częścią historii „Przekroju”. Legendy to nie umniejsza. A Eile czasem wybuchał: „Przecież ja redaguję gazetkę więzienną”.

Gdzie najchętniej Pan pisze? Towarzyszą temu jakieś rytuały czy raczej zbiegi okoliczności?

To przede wszystkim czas wykradany pracy, rodzinie, wypoczynkowi. Najlepiej pisze mi się wieczorami i nocami, kiedy dom już usypia. Zarwane noce mogą dawać satysfakcję, jeśli coś z nich wynika. Bo jeżeli poranna lektura efektu nocnej pracy trafia do kosza, wtedy oczywiście jest gorzej.

Jak długo pracował Pan nad tą książką? Po liczbie wypowiedzi znajomych i pracowników Mariana Eilego wnioskuję, że samo spisywanie i redagowanie wywiadów sporo zajęło...

Każda biografia to zwykle dwa, trzy lata pracy, a ta książka dodatkowo prawie dwa lata musiała poczekać. Była w 85-90 procentach gotowa, kiedy ukazała się inna książka o fenomenie „Przekroju”, i uznaliśmy z prezesem wydawnictwa Iskry, że lepiej z wydaniem poczekać. Ale teraz poddaję ją pod osąd czytelników. To opowieść o życiu Mariana Eilego i o „Przekroju”, ale także historia PRL-u i tej szczególnej formacji, która pozwoliła przetrwać polskiej kulturze, czyli inteligencji. Jestem przekonany, że „Przekrój” był w pierwszej kolejności pismem dla inteligencji, dopiero w drugiej – co zarzucali mu orędownicy kultury wyłącznie wysokiej – dla drobnomieszczaństwa znanego w tamtym ustroju jako inteligencja pracująca. A nawet jeśli „Przekrój” był robiony dla drobnomieszczaństwa, to dla takiego z aspiracjami.

Czy rola pisarza zapewnia Panu spokój finansowy? Pytam, bo moją debiutancką książkę cały czas odkładam. Zawsze jest do napisania coś innego, najczęściej dla kogoś. Tymczasem może warto skupić się na sobie?

Jeśli ktoś zechce zająć się pisaniem z nadzieją na dostatnie życie, to oczywiście jego prawo. Warto jednak pamiętać, że żyjąca polska noblistka jest jedna, a Miłosz i Szymborska dostali Nobla, mając po 70 lat. Wcześniej pracowali na etatach redaktorskich albo naukowych. Oczywiście są książki, które przynoszą pieniądze, czasem spore, ale najbardziej skupieni na sobie poeci wydają tomiki w nakładzie pięciuset egzemplarzy.

Marian Eile „z podróży wracał do Krakowa, którego nigdy nie pokochał, choć mieszkał w nim do końca życia”. Podobno nigdy nie był na Wawelu... Kraków to dla Pana miasto jak każde inne, czy darzy je Pan szczególnym sentymentem?

Jeszcze w szkole średniej myślałem o studiach w Krakowie, bo to było miasto-legenda, z wielką historią, kulturą, klimatem. Nie przeszkadzały mi opowieści o hermetycznym „krakówku”, do którego nie da się wniknąć bez co najmniej trzech pokoleń krakowskich przodków. Ostatecznie wybrałem Wrocław, bo jest bliżej rodzinnej Opolszczyzny, i okazało się to wyborem szczęśliwym.

Dziś jestem wrocławianinem z miłości, ale w Krakowie mam wielu znajomych i przyjaciół, z którymi nieraz zawieraliśmy austro-węgiersko-breslauerski sojusz wymierzony oczywiście w pazerną, zarozumiałą i bezczelną Kongresówkę.

Czyta Pan dziś „Przekrój”?

Tak, czytanie kwartalnika nie jest jakimś szczególnym wyczynem. Cieszę, że nowa redakcja nie odcięła się od korzeni, jak próbo-

Bez dozy cynizmu, nawet serwitutów płaconych PRL-owskiej władzy nie można byłoby robić takiego pisma jak „Przekrój” Eilego.

wali to robić redaktorzy, którzy w XXI wieku zmieniali się w „Przekroju” jak rękawiczki. Byli wśród nich nawet tacy, którzy próbowali zmienić pismo w sztandar lewicy. Nowy „Przekrój” nie udaje czegoś, czym nigdy nie był. Więc czytam i nie kryję, że z dużą przyjemnością sięgam do archiwaliów. Po prostu, jak mówił inżynier Mamoń, podoba nam się to, co już znamy, a jak to jeszcze jest dobre, to podoba się tym bardziej. A „Przekrój” był fascynującym pismem.

Kto będzie bohaterem Pana kolejnej książki?

Przy dzisiejszej popularności biografii – czego skutkiem jest niestety dewaluacja gatunku, bo pisze się coraz szybciej i więcej, a więc byle jak – naiwnością byłoby zdradzać pomysły i mieć pewność, że za pół roku, a więc w czasie niemożliwym, żeby coś naprawdę zbadać i napisać, pojawi się produkt biografopodobny. Dlatego proszę wybaczyć, ale na to pytanie nie odpowiem.



Marta Gruszecka – dziennikarka z lekkim piórem i łębskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.